

**HENRYK
SIENKIEWICZ**

NIEWOLA
TATARSKA

Henryk Sienkiewicz

Niewola tatarska

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843362

Niewola tatarska:

Аннотация

Wydany w 1880 roku pierwszy tekst historyczny Henryka Sienkiewicza, który zapoczątkował okres zwrócenia się autora w stronę przeszłości. „Niewola tatarska” to patriotyczna nowela, której akcja toczy się w XVII wieku na terenach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Utwór jest napisany w formie pamiętnika fikcyjnego bohatera, Aleksa Zdanborskiego, który podczas bitwy zostaje wzięty do niewoli przez Tatarów. Ci postanawiają go zabić. Czy miłość do Marysi, córki bogatego szlachcica, uratuje go od śmierci w obcym kraju? A może dumny Zdanborski zginie w obronie swojej wiary i honoru?

Содержание

I	4
Конец ознакомительного фрагмента.	16

Henryk Sienkiewicz

Niewola tatarska

I

Pacholę jadąc przodem, albo-li téż za mną, pobrzdękiwało na teorbaniku, a mnie żałość i tęsknota za Marysią ścisnęły serce — i im daléj od niej odjeżdżałem, tém ją miłowałem goręcéj. Przychodziły mi wonczas na myśl słowa: „*post equitem sedet atra cura,*” lecz gdy w tak wielkiém fortuny mojej uszczupleniu z J. W. Tworzynańskim mówić, ani mu się wypowiedać z afektów nie śmiałem, nie pozostało mi nic innego, jak szablą na nową fortunę zarobić i *gloria militari* się przyozdobiwszy, dopiéroż przed nim stanąć. Bóg mi, ani Marychna moja serdeczna nie mogli wziąć za złe, żem tego wprzódy nie uczynił. Gdyby mi ona kazała w ogień albo téż w wodę skoczyć, albo zgoła krew przelać, Ty, Jezu Chryste, który patrzysz w serce moje, widzisz, że byłbym to uczynił. Ale jednéj rzeczy, nawet dla wdzięcznej dziewczeczki mojęj nie mogłem poświęcić, a to honoru szlacheckiego. Fortuna moja była żadna, lecz zasię krwi zacność wielka, a po ojcach jakoby testamentem miałem przekazane, bym wiecznie uważył, iż gardło jest rzeczą moją i one wolno mi na szwanek podawać, ale *integra rodu dignitas* jest puścizną przodków, którą mam oddać, tak jak ją wziąłem: *integram*. — Wieczny odpoczynek racz ojcom

moim dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Choćby J. W. Tworzyański dziewczkę swą oddać mi się był zgodził, nie miałbym jój gdzie wprowadzić, gdyby zaś bacząc na szczupłość méj fortuny w dumie swéj *pauprem*, albo zgoła szarakiem mnie nazwał, tedybym się w rozumieniu o wyborności rodu mego czuł dotknięty i pomściłbym się na nim musiał – czego, gdy on jest ojcem mojej Marysi, Panie Boże nie dopuść.

Owóz i nie zostało jak jechać na kresy. Rzędziki, pasy i co było lepszego po ojcach, częścią zastawiwszy, częścią przedawszy, zebrałem dukatów ważnych trzysta, które zaraz na prowizyą J. W. Tworzyańskiemu oddałem, potem łzami i ciężkiem wzdychaniem pożegnawszy Marysię, przez noc gotowałem się do drogi, a nazajutrz oba z pachółkiem obróciliśmy konie ku Wschodowi.

Wypadło jechać na Zasław, Bar do Haysynia. Po zamkach, dworach lub karczmach na noclegi stawając, dotarliśmy wreszcie do Umania, za którym step już otworzył się przed nami równy, bujny, głuchy. Pachółek, jadąc przodem, coraz to w teorbanik uderzał i pieśni śpiewał, a mnie się zdało że przedemną leci, jako ptak za którym gonię: sława—a za mną jako drugi ptak: tęsknota. Jechaliśmy do stannicy, zwanój Mohylna, gdzie czasu swego J. W. ojciec mój, pułkownik z chorągwią pancerną strażował, którą był własnym sumptem na wojnę z bisurmany wystawił; ale do Mohylnej jest bardzo daleko, bo chwalić Boga, Rzeczpospolita szeroko rozsiadła się po ziemi, i prócz tego, trzeba tam jechać

przez stepy, na których dzień i noc myszkują Tatarzy i różni łotrzykowie, więc i szyi własnej strzedz bardzo wypada. Po drodze dziwowałem się wszystkiemu, jako, że pierwszy raz na Ukrainie będąc, same nieznanne spotykałem sprawy i rzeczy. Ziemia to wojenna, lud też w niej twardszy niż u nas i hardziejszy, a w chłopie fantazyja taka, jakiej szlachcicby się nie powstydział. Gdy osadą przejeżdżasz, choć pozna żeś urodzonym, ledwie ci czapki uchyli, a w oczy prosto patrzy. W każdej chacie jest tam i szabla i rusznica, a niejeden chłop obuszek w rękę nosi, właśnie jako gdzieindziej ślachcic. Zawzięta też natura jest w tych ludziach i nawet—za co ich szabla już karała i jeszcze pokarze—z komisarzyów Rzeczypospolitéj nie wiele sobie robią, taki bliskość pogaństwa i ciągła wojenna gotowość wyrobiły w nich animusz. Rolą niezbyt chętnie się parają, a jeśli któremu i płuży gospodarka, woli na swojém, niż na pańskiem osiadać. Za to do pocztów dworskich, albo i pod lekkie znaki Rzeczypospolitéj chciwie się zaciągają i żołnierz, zwłaszcza do zwiadów i harców z nich wyborny, choć i w polu *non obtrectant*, ale krzyk wielki uczyniwszy, na nieprzyjaciela jako w dym idą, siekąc i koląc. Każda ich osada podobniejsza jest do taboru, niż do wsi;—koni mnóstwo trzymają, które na stepie zimą i latem się pasą, a są tak ściągłe jak tatarskie. Wielu z nich także na *insulae* dniewprowe ucieka, i tam w siczy, żywot jakoby zakonny, ale wojenny i wcale rozbójniczy prowadzą, na którychto ich swawolach wiele ucierpiała i cierpieć jeszcze będzie, póki ich nie poskromi miła ojczyzna nasza. Na miejscu

—jakowemu szlachcicowi, a choćby i możnemu panu, trudno ich utrzymać, albowiem raz wraz się zrywają i w puste stepy, których tam dowolna, idą na własnej woli osiadać. Konstrukcją ciała są zarówno jak i *moribus* od naszych chłopów odmienni, gdyż wysocy są i krzepcy, cerę mają śniadą, do tatarskiej podobniejszą, wąsy tak jak u wołochów czarne, łby zaś, modę od pogaństwa przejąwszy, gołą, na samym tylko czubie, srogi oseledec zostawując. Co widząc i rozważając dziwowałem się bardzo i tej ziemi i wszystkiemu co w niej jest, a jakom ją nazwał wojenną, tak też i powtórzę, że krainy dla zbrojnego i konnego ludu przygodniejszej, próżnoby po całym świecie szukać. Gdy jedni zginą, drudzy ze wszech stron nadciągają, i po wszystkich szlakach, tak właśnie jakoby stada ptaków ciągną, a w onej pustoszy stepowej łacniej usłyszyć niżli skowronka nad glebą, huk samopałów, szcęk szabel, rzenie koni, furkotanie chorągwi na wietrze i krzyki żołnierskie. Chodzą tam także, jak również na Podolu i Wołyniu, stare dziady, których wszyscy wielce szanują. Ci ślepi będąc, na lyrach grają i pieśni rycerskie *cantant*, przez co animusz i czułość na sławę bardzo kwitnie. Żołnierz też tam widząc, że ci co dziś żyją, jutro gniją, na żywot własny, jakby na złamany grosz nie baczy, szafując krwią jako magnat złotem—i więcej o piękną śmierć niżli o życie lub dostatki dba doczesne. Inni wojnę nad wszystko umiłowawszy, choć nieraz z wielkiej krwi pochodząc, w ustawicznej żołnierce prawie dziczeją i na bitwę, jakby właśnie na wesele, z radością wielką i śpiewaniem idą; ale czasu pokoju przykrzą sobie wielce, nie

najdując zaś ujścia dla swych wojennych umorów, spokojności powszechnej zagrażają. Tych straceńcami zowią. Gdy człowiek tam zginie, wszyscy poczytują to za rzecz zwyczajną i nawet najbliżsi nie bardo go płaczą, mówiąc, że lepiej przystoi mężowi na stepie, niżli w łóżnicy jako niewieście konać. Jakoż tam jest najlepsza rycerska szkoła i zaprawa. Gdy pułk jaki młody w stannicy rok, albo-li téż dwa postoi, tak się jako turecka szabla wyostrzy, że potem ani rajtarya niemiecka, ani janczary furyi jego w równej liczbie się nie ostoją, a cóż dopiéro inny podlejszy żołnierz, jako naprzykład wołoski, lub wszelaki najemnik. O zwadę tam łatwo i téj unikać należy, gdyż cała ziemia roi się mężami zbrojnymi. Jadąc z pachołkiem napotykalіśmy to poczty dworskie, więc panów Potockich, Wiśniowieckich, Kisielów, Zbarażskich, Jazłowieckich i Kalinowskich w różnych czarnych, czerwonych i pstrych barwach, to wojska komputowe, to chorągwie królewskie. Konie owych żołnierzyków szły po brzuchy w trawach, prychając jakoby płynęły we wodzie; rotmistrze oganiali chorągwie, jako psy owczarskie stada, kozacy bili w kotły, dęli w surmy i piszczałki, lub śpiewali pieśni, czyniąc gwar tak srogi, że bywało i przeszli i zniknęli, a jeszcze wiatier niósł od ich strony rozhówór, jakoby właśnie od burzy dalekiej. Między pułkami ciągnęły także maże czumackie skrzypiące przeraźliwie, od których konie nam się płoszyły. Czumakowie owi, jedni sól z Limanu nad *Euxinem* biorą, drudzy aż do *Palus Meotis* z pomiędzy sprosnych pogan wracają lub z Moskwy, inni wino mołdawskie na Sicz wiozą, a żórawim ordynkiem

jedni za drugimi ciągnąc, czasem łańcuch na milę w stepie tworzą. Napotykałiśmy także tabuny wołów, wszystko jednej siwój maści o wielkich porozginanych rogach. Te stłoczywszy się, idą tak ciasno, iż kupę zbitą czynią i tylko łby rogate chwieją im się w obie strony. Za stanicą kisielową zaszła nam drogę rota z pod poważnego znaku usarskiego. Ludzie byli w pełnej zbroi i taki szum szedł od ich skrzydeł, jakby od orłowych. Oczuśmy obaj z wyrostkiem nie mogli od nich oderwać, choć i trudno było patrzeć, bo słońce na zbrojach okrutnym blaskiem raziło powieki, a ostrza u podniesionych w górę kopij błyskały jakoby płomyki jarzących świec, pozawieszane w powietrzu. Ale serce nam rośło, usarze ci bowiem więcej byli podobni do roty królów niżli do żołnierzy, taka w nich *auctoritas* i taki majestat bojowy. Za stanicą kraj stał się głuchszy. Często po stepie błyskały nocami ogniska gońców kozackich, do różnych stanic rozsyłanych, lub téż chłopów na pustkowiea uciekających. Nie zbliżaliśmy się do nich, własne mając zwyczaj niecić ognisko. Inni téż czasem do nas przychodzili, bądźto zgłodnieli, bądź zabłąkani w stepie, a raz zbliżył się dziwny jakiś człek z twarzą całkiem zarosłą i do wilczej paszczęki podobną. Ujrzawszy go pacholę, krzyczeć od wielkiego strachu poczęło, a ja sam, sądząc mieć sprawę z wilkołakiem, sięgnąłem już po szablę, by go ściąć. Gdy jednakże owo monstrum, miasto zawuć, pochwaliło Chrystusa, dałem mu spokój. Potém nieznajomy opowiedział się tatarem z pochodzenia, ale katolikiem, czemum się nawet dziwił, bo ci, co są w Litwie, koranu się trzymają. Ów zaś dla żony wiarę

zmienił, a później służąc jako *vexillifer* w swoim ściahu, dla znajomości tatarskiego języka, z listami do Ordy od hetmanów litewskich był wysyłany. Ale przecie pachotkowi markotno było z nim spać przy jednym ogniu. Częściej też noce spędzaliśmy samowtór śpiąc, albo i nieśpiąc, by na konie dawać baczenie. Nieraz układłszy się na trawie, patrzyłem w gwiazdki migocące w niebiesiech, rozważając sobie w duchu, że ta co najserdeczniej na mnie mruga, to właśnie moja Marysia. I *in luctu* miałem takową otuchę, że ona gwiazdka nigdy nie zaświeci innemu, ale wiary mnie dochowa, mając serce ućciwe i duszę tak czystą, jako kropla łzy wypłakanéj w modlitwie przed Bogiem. Czasem przychodziła do mnie we śnie, właśnie jakoby żywa, a niejakiéj nocy przyszedłszy, rzekła, iż się za mnie modli i że jako jaskółka za mną poleci przez niebieskie przestworza, a zmęczy się, to na mojej glewii spocznie, a wciąż świegotać będzie do nieba o sławę i szczęście dla mnie. Potém rozpląnęła się w parę, ja zaś, gdy się zbudziłem, myślałem: anioł był koło mnie, a co mnie przytém dziwiło, to, że i konie strzygąc uszami, prychały mocno, jakby czuły kogoś wedle siebie. Uważając takie zjawienie za znak łaski Bożej i za zachętę w imprezach, ślubowałem N. P. Maryi i Św. Aleksemu, memu patronowi, by łaskę ich i nadal zachować, nigdy grzechem śmiertelnym się nie zmazać. Modliłem się też onéj nocy aż do świtania, czyli do pory odjazdu. Ruszaliśmy zwykle w dalszą drogę przed wschodem słońca, który to fenomen wcale w tamtych stronach piękniejszy jest niż u nas, bo gdy pierwsze promienie strzelą na równinę zroszoną

chłodem nocy, to cały step dla mnogości kwiecica wygląda jakby bisior perłami tkany. Ztąd radość jest wszelkiemu stworzeniu. Dopieroż kuropatki, przepiórki, pardwy i inni ptacy stepowi smyrgając w gąszczy, strącają one perły na ziemię. Ptastwa moc jest nieprzebrana w téj krainie. Napotykalismy co dnia to dropie chytre, to żórawie misterne. Te siedząc na ziemi, wyciągnąwszy szyje długie jakoby dzidy do góry, straż koło mogił w ordynku odpracują, gdy zaś po niebie z gęganiem okrutném lecą, to tak wysoko, że ich okiem nie sięgnąć. Czumakowie wielce je szanują, bo w locie kształtem krzyż święty przypominają. Żołnierze téż, licząc je szablami, szczęście sobie z ich liczby wróżyć zwykli, ale wedle mojego rozumu, to niéma nic do rzeczy, bo co komu Pan Bóg w miłosierdziu swoim ma dać, to i tak da. Z innych ptaków są tu wrony, kruki, jastrzęby i orłowie, którzy pod zorzę wieczorną wielkie korowody nad mogiłami czynią, to siadając wieńcem na jakowój mogile, to zrywając się bez racyi z łopotem i krakaniem tak ogromném, a żałościwém, że uszy sobie zatykać trzeba. Zorze wieczorne czerwienią się tu mocniej niż u nas, a to z tego powodu, iż wiele krwi chrześcijańskiej rozlewają poganie, która to krew idzie do nieba i czerwieni się, wołając o pomstę. Mogiły téż tu, jak okiem sięgnąć, pokrywają całą krainę, a w nich leżą rycerze, czekając dnia sądu. Inni wszakże twierdzą, że rycerstwo to śpi tylko, ale rozbudzi się, gdy wyprawa wszystkich królów chrześcijańskich na pogan zostanie otrąbiona – co czy prawdą jest, nie wiem, ale tak mniemam, iż może się zdarzyć, bo w mocy Bożej jest

wszystko.

Ziemia to jest mężów walecznych, którą kopytami końskimi depcą polacy, kozaki i tatarzy w ustawicznym harcu, jedni za drugimi zbrojno się uganiając. A tak całe pokolenia, jako one figurki w papierowym zapustnym teatrum ukazują się i nikną. Wielu tam także dobrej szlachty na zamieszkanie przychodzi, i ci chłopa z Korony lub też miejscowego uzbierawszy, całe osady zakładają, bo choć tam żywot pod ciągłą grozą wojenną wieść trzeba, przecie taką już dał Pan Bóg narodowi naszemu fantazyą, że niebezpieczeństwa miasto go zrazić, lepem mu są właśnie i ponętą. Jakoż, gdy pacholę ślacheckie do lat dojdzie, trudno je w domu przy gospodarce, albowi też na szkolnej ławie utrzymać, bo się jako białozór do lotu zrywa na kresy. Niejeden tam szyję traci, ale inny chudopacholek na pana wychodzi, jako już wielu wyszło, których dzieci na zamkach swoich żyją, poczty trzymają i senatorskie godności w Rzeczypospolitej piastują. Po bożej też to jest myśli rycerskiemu człeku z roli i wojny na pana wyrastać, a przytém przez takie osadzanie stepu, potęga Rzeczypospolitej się pomnaża. Z mazurów, który to naród bardzo jest mnożny i tak się właśnie jako pszczoły w ulu roi, najwięcej tam ludzi przychodzi. Ci step pługami orzą i w rolników chętnie się zmieniają, a w czasie wojny kupią idą, jeden za drugiego zginąć gotowy...

Rozważając sprawy one, bardzom się radował, bom zrozumiał, że albo w bitwie polegę, na co ślachcic, żołnierz chrześcijański zawsze *paratus* być winien—i wówczas koronę

niebieską otrzymam—albo miłej ojczyźnie znaczne postługi oddawszy, ród mój do dawnego splendoru powrócę i ojców moich w niebie uraduję. Oni téż do fortuny dochodzili nie łożdrowaniem po dworach, ani krzykiem na sejmikach, ale krwią, życia fundamentem, a co dzierżyli, to od Rzeczypospolitej dzierżyli i dla niej téż nie żałowali, jako J. W. dziad i J. W. ojciec mój, z których kaźden okrytą chorągiew na wojnę z bisurmany wystawił. Niech im za to Bóg da w niebie światłość wiekuistą, boć przystoi aby fortuna co z szabli przyszła, w szablę przetopiona została. A mnie choć tam serce za Marysią boli i w trzosie wiatr świszczce, przeciem dziedzicem jest sławnego imienia i wielkiej ambicyi ślacheckiej, kwoli której po nocach jakoby trąby i głosy jakieś słyszę, co na mnie wołają: „imię nieskalane zachowaj, ojcom dorównaj, złam się, nie zegnij!” Ty, Boże, tak mnie błogostaw, jako imię przechowam: ojcom dorównam i pierwój się złamę, niż zegnę.

I tom sobie także przedsię zamierzył, że da-li mi Bóg szczęśnej chwili doczekać i po Marysię jechać, to przyjadę, ale nie w drelichu, jeno w złotogłowi, i nie w podartój czapce, ale w piórach strusich i nie z jednym pachółkiem, ale z poczem i buzdyganem w ręku, jako paniątko po panienkę, jako możny rycerz po senatorskie dziecko. A wtedy bez ujmy dla honoru rodu mego J. W. Tworzyańskiego do nóg padnę, boć mu się nie jako panu o fortunę, ale jako ojcu o dzieweczkę pokłonię. W ubóstwie zaś zgłosićbym się po nią zaniechał, choćby mi się i dusza rozdarła, gdyż, jeśli miłując ją, żonę moję pragnę z niej

uczynić, to na to, by w dostatku przed jój kochanemi stopkami proch zdmuchiwać, nie zaś, aby je miała bosa, na ciernistój drodze żywota zakrwawić.

Coraz lepsza otucha wstępowała mi w serce, w miarę, jakieśmy się z pachółkiem głębiej w step zapuszczali. Jeno smętno tam było, bo pusto, ale tak przestrono, że człeku się zdaje, iż jest onym orłem albo jastrzębem. Trawy coraz wyższe po bokach końskich ci się kładą, jakby cię ze czcią witały, i szelest wielki sprawując, zdają się mówić: witaj żołnierzyku boży! Im dalej jednak, tém niebezpieczniej, bo Mohylna jest ostatnią strażnicą chrześcijańską, żołnierz téż tam codziennie do komunii świętej przystępuje, aby być zawsze na śmierć gotowym. Tatarzy to większemi oddziałami, to pojedynkiem ciągle się koło onój stannicy kręcą, choć, gdy ich większa liczba przychodzi, łatwo człek doświadczony pozna, albowiem nocami okrutnie wilcy za niemi wyją; gdy zaś kosz większy idzie, to całe stada za nim ciągną, wiedząc, że na szlaku najdą dowolna ludzkiej i końskiej padliny. Inni mniemają wszakże, że bestye te, tatarskiego mięsa nie jedzą, przyjaciółmi tatarom będąc, którzy dla swój drapieżności i szpetnego pogaństwa, snadnie z dzikiemi bestyami mogą być porównani.

Ale w tém myszkowaniu dziwne im się także trafiają przygody, bo gdy kozacy obok chorągwi pancernój w stannicy stojący, którego z nich ułowią, żadnego miłosierdzia nad nim nie mają, i okrutnie nad niemi zbytkują. W nocy raz obaczywszy płomień wielki na stepie, i ludzi koło niego, przybliżyłem się

z pachółkiem, chcąc wiedzieć coby byli za jedni, a gdyby Bóg zdarzył, to i kilka strzałeczek między nich wypuścić. Ale byli to właśnie kozacy ze stannicy, którzy drzewo srogie na stepie zapaliwszy, powiązanych tatarów żywcem w ogień rzucali, tak każdym, jakoby worem rozmachując. Owi Ałły swego wzywali napróżno, od tych zaś, którzy się już piekli swąd wielki rozchodził się po stepie, a kozackowie jako złe duchy w ogniu skacząc, oddawali się radości. Kazałem im zaraz téj swawoli poniechać i jeńców, jako się godzi, szablami poprostu pościnać, na co odrzekli: „umykaj, aby znać i tobie tak nie było.” Dopiero poznawszy we mnie ślachcica, pozdejmowali czapki, a dowiedziawszy się, że do pułkownika pod znak jadę, wieść mnie do stannicy się podjęli. Jechaliśmy tedy przez resztę nocy kupią i bez przygody, a po drodze jeden jeszcze dziw widziałem. Oto pewne miejsce na stepie całkiem było świecącemi insektami pokryte, które koło św. Jana są i u nas, ale nie w takiej liczbie. Tam zaś, jako okiem sięgnąć, tak migotały wśród ciemności na trawie, że rzekłbyś kawał nieba z gwiazdami jasnemi się oberwał i leży jak żyw na stepie. Świtaniem dopiero one gwiazdki świecić przestały, ale téż i do stannicy nie było już daleko, jako i pianie kurów świadczyło, których wielką moc, żołnierze miłując ich wdzięczne śpiewanie, utrzymują. Wkrótce potem gdy rozwidniło się jeszcze lepiej, ujrzeliśmy przy zorzy, kilkanaście źróawi studziennych, a wiatер przyniósł do nas szczekanie psów i rzenie koni. Bliżej téż ostrokołów usłyszałem pieśń: *Salve janua salutis*

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.